Nr. 11. We Lwowie dnia 17. marca 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Mickiewicz a Słowacki.

Odczyt A. Langego, miany 24. listopada 1900 r. w towarzystwie akademickiem „Ognisko“ w Wiedniu, a powtórzony 22. stycznia 1901 r. w „Czytelni dla kobiet“ w Krakowie.

3)

I w Słowackim była miłość, lecz była to miłość, co gryzie. On powiada, że *sercem gryzie*, ale może to gryzienie sercem jest boleśniejsze od zębów... Mickiewicz naród swój chciał ochronić od cierpień; Słowacki — owszem w cierpieniu widział jego odkupienie. Mickiewicz był pierwszy, który widział w Polsce — jakoby Chrystusa narodów; ale Słowacki mówił: Biada wam, którzy sobie wmawiacie, że krzyżem podobni jesteście do Chrystusa... niepomni na to, że Chrystus niewinnie, owszem wolę swą zgodziwszy z wolą Ojca, na krzyżu cierpiał za narody!... Owszem, podobni jesteście do sług, którzy rozkazu bożego nie wykonali...

Widoczną jest rzeczą, że rozważając historję Polski, Słowacki dostrzegał w jej przeszłości jakieś przeznaczenia niespełnione i goryczą był przepełniony, że ta „córa Słowa, umiłowana odtąd i na wieki“—nie była tak bez skazy, jaką by on ją mieć pragnął... On nie wątpił o istnieniu narodu, ale narzucał mu te wewnętrzne męczarnie, to samokrwawienie bezlitośne ducha, które w przyszłości miało go uświęcić, podnieść i udoskonalić...

Dla tego, kiedy Mickiewicz powiada wprost: Ja kocham cały naród!... Ja i ojczyzna to jedno —

Słowacki mówi:

Cały się stałem ojczyzną — i cały
Stałem się prochem — i cały rozpaczą!
. . . .
Na mojem sercu, jak na złotej tarczy —
Sto dzid się łamie i sto mieczów kruszy —
I sto utkwionych strzał boleśnie warczy
I sto aniołów upada bez duszy —
Myśląc, że *serce* za wszystko wystarczy,
Wszystko uzbroi sobą — wszystko wzruszy!
A ja co? anioł na dnie mgieł czerwonych —
Pan niewidzialnych duchów — brat szalonych...

Słowacki przedewszystkiem dąży do usunięcia tych wszystkich słabości, które widzi w życiu swego narodu. Rozszerzenie życia, przewyższenie siebie, żądza wyłonienia z siebie istoty wyższej, oto była myśl przewodnia Słowackiego.

Jeżeli Mickiewicz uwiecznił w swoim narodzie wolę bytu, Słowacki wlewa w jego duszę — powoli a wciąż — wolę wielkości. Z chwilą, kiedy sprawa istnienia została rozwiązaną, rodzi się sprawa, jakiem będzie to istnienie? Jeżeli mówimy, że Mickiewicz rozwinął w narodzie instynkt bytu, to nie znaczy jeszcze, aby dzieło jego było zupełnie skończone; jeszcze miljony żyją na ziemiach polskich, o których nie można powiedzieć, że one są! Jeszcze w nich należy rozbudzić istnienie; ale po nad temi miljonami są tysiące, których byt rozwija się w pełni świadomej; dla tych i instynkt bytu nie może być już rzeczą najpierwszą i dla tych Mickiewicz należy już w pewnym stopniu do historji. W pewnym stopniu, mówię dla tego, że prócz objawienia przyrody polskiej, w Mickiewiczu jest cały okres nowych objawień, których istota dotąd jest nam niezupełnie zrozumiałą; okres mesjaniczny, w którym, jakby u Słowackiego, promienieje byt wywyższony sam nad siebie. Dla miljonów, które jeszcze *nie są*, Mickiewicz jest źródłem i krynicą bytu; gdzie wchodzi Mickiewicz, wchodzi życie i miłość. Gdzie wchodzi Słowacki, (ale on nie wszędzie wejść może,) wchodzi przewyższenie życia i miłości, rozszerzenie bytu, wchodzi żądza twórcza, albo, mówiąc językiem Nietschego, wola do wielkości.

Dwie te potęgi, wypływające z dwóch naczelnych poetów polskich, nie zawierają w sobie żadnego przeciwieństwa; druga wysnuwa się z pierwszej, jak jutro z dzisiaj...

Ale jutro przynosi zawsze niespodzianki.

Dlatego, kiedy w miljonach, w większości przez Mickiewicza powstaje przebudzenie bytu, w tysiącach, w mniejszości, zakwita wola do wielkości.

Poczucie bytu, jest to rzecz elementarna, najpierwsza, najprostsza, najpowszechniejsza, więc wyraz jej, Mickiewicz, jest prosty, harmonijny, granitowy, wszystkim dostępny, wszystkim zro-

zumiały, dla wszystkich, jako źródlana woda, przeźroczysty. Poczucie bytu, jest niezaprzeczone, nietykalne, niezmienne, i w każdej formie pewne swej własnej istoty, zgodne ze sobą, a zatem pełne spokoju.

Słowacki wyraża uczucie nie pierwotne, owszem wtórne, pochodne, które wtedy dopiero zjawić się może, kiedy poczucie bytu już zakończyło swą walkę. Bez woli bytu niemasz woli wielkości; bez Mickiewicza niemasz Słowackiego, ale skoro się zjawił Mickiewicz, musiał się zjawić Słowacki.

Wola do wielkości nie jest elementarną, nie jest powszechną, nie jest niezaprzeczoną; owszem, jest to uczucie niespokojne, pełne trosk i sprzeczności, zwątpień i walki wewnętrznej; uczucie nie wszystkim dostępne, owszem, raczej tylko duszom wyjątkowym i osamotnionym zrozumiałe. Ale choć mniej powszechne, jest równie konieczne i ma swoją siłę fatalną. Mickiewicz przemawia do wszystkich; Słowacki do mniejszości, i rozumiał to Słowacki, kreśląc tych Arabów, co wszelki uśmiech dokoła siebie niszczyli i Królów-duchów, co postanowili „niebiosa zatrwożyć!“ — i tego Kordjana, który stał, jako posąg człowieka na posągu świata, na szczycie góry Mont-blanc, w osamotnieniu własnowolnem i samodzielnem. I Konrad kocha samotność, ale znalazł się w niej przeciw woli własnej, gdyż z natury, jest to człowiek, spragniony ludzkich twarzy, człowiek bytu, kiedy dla Kordjana byt jest rzeczą, zda się podrzędną, o której niema co wspominać.

W istocie — nie o byt, ale o wielkość walczą narody. Nieszczęście Polski nie na tem dziś polega, że ją chcą wynarodowić, ale na tem, że z narodu wielkiego staje się naród mały. Nie tu jest czas i miejsce mówić o tem, na czem polega małość dzisiejszego narodu polskiego; małość, którą Słowacki już za swoich dni widział i przeczuwał i której lękał się dla Polski bardziej, niż unicestwienia!...

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świecącą kłosów i promieni?

Dla Mickiewicza ostatecznym ideałem, odrodzeniem Polski, była jej niepodległość, jej odbudowanie: gdyż taka jest najwyższa forma instynktu bytu... Mickiewicz wierzył, że w tym narodzie są cnoty nadludzkie, które uświetnią dobę jej niepodległości. Słowacki nie dowierzał tym cnotom. Przypomnijmy sobie w Beniowskim Suchodolskiego, poetę, kronikarza konfederacji, o którym z ironją bolesną mówi Słowacki, że zawsze upiększał rzeczy widziane. Zdaje mi się, że dla Słowackiego odbudowanie Polski nie byłoby jeszcze jej odrodzeniem, gdyż musiałaby ona przedtem grzechy swoje odkupić i cudotwórczej siły do tego potrzeba: miłości ogromnej, któraby jednak nietylko pieściła, ale też i gryzła... Gryzł też boleśnie swój naród Słowacki, a choć skarżył się na bezgraniczną samolubność na ziemi, choć wołał, że i jego też ojczyzna kochać powinna, czuł, że nie jest kochany i oczekiwał miłości za grobem... Tylko w krainie snów ukochanym być może ten, który gryzie i męczarnie zadaje.

A co dziwniejsza, że mię ukochano
Za siłę i za strach i za męczarnie!

Wierzył on, że w tych cierpieniach i torturach, jakie zadaje niewolnicy, była miłość...

(Dok. nast.).

O Krzyżakach.

Przez

7) **Marję Konopnicką.**

III.

Dwojakim trybem tworzy Sienkiewicz postacie swoje w „Krzyżakach“. Jedne traktuje kunsztem malarskim, i te, jak obrazy, całe stoją na barwie, na świetle, na perspektywie i na czarodziejstwie optycznej ułudy; drugie zaś, ciosa jak posągi, i te mają tęgość, moc, jędrność i rzeczywistość wymiarów rzeźby.

I jest w tem głęboki rozmysł artystyczny.

Bo przedewszystkiem, sposobem malarskim traktuje Sienkiewicz te historyczne postacie, którym nasze gotowe już pojęcia o nich dają pewne tło, pewną nawet barwę, a sama dalekość dziejowa perspektywy głębokiej użycza.

Tak występuje, otchniona błękitem zaświata i oddalenia, postać królowej Jadwigi, która, gdy nam się jawi na tle kościelnej nawy i wysokich stall kościelnych, nietylko patrzymy na nią sami jak na cudny, prawie że nieziemskiego uroku obraz, ale zaczynamy jasno rozumieć fakt, iż lud, także ją w kościele przeważnie widujący, i także w jej słodką twarz, jak w obraz wpatrzony, właśnie w tem wrażeniu obrazu, jakie na nim czyniła smutna a jasna pani, wyczerpnął pierwszy impuls do nazywania jej „świętą“.

Ale tak samo po malarsku jest traktowany i Jagiełło, chociaż się jawi nietylko na tle kościoła, ale i na tle uczty, i na tle bitwy także, a zatem w momentach bardzo różnych i któreby, jednolitość postaci — jako obrazu — koniecznie rozbić musiały, gdyby je autor był pogłębił, i czynniki ich psychiczne na pierwszym planie

postawił. Tak wszakże nie jest. Ani budowa powieści, ani rola w niej Jagiełły, nie wymagały pogłębienia takiego, a może by go nawet — bez szwanku dla siebie nie zniosły. Owa zaś różnolitość tła, zupełnie zneutralizowaną została przez silne ujęcie postaci króla w malarskiej syntezie linji oraz barwy.

Jakoż Jagiełło, przy swojem skąpem, zwartem słowie, przy stale jednostajnym geście, przy tej swojej śniado-ognistej twarzy, która, czy ją duma przyziębi, czy gniew podpali, niewiele się już w kolorze odmienia, — ten Jagiełło Sienkiewiczowski, — mimo różnolitości tła, na którem występuje, sprawia niewątpliwie wrażenie obrazu, pomyślanego i wykonanego w jednym zasadniczym tonie i w jednym zasadniczym rysie.

Obie też te postacie, i króla i królowej są — jeśli tak rzec można – dekoracyjne, i należą raczej do scenerji powieści, niźli do jej wątku. A chociaż kilka barwnych i cudnych momentów około nich się osnuwa, — że wspomnę tu tylko owo morze głów ludzkich pod murami zamku, morze ogromne, ciche, a rozkołysane obawą o życie królowej, żadne przecież istotne zawikłania powieściowego wątku przez nie rozstrzygniętemi nie są i od nich pędu swojego nie biorą. Jakoż, nie „święta Królowa“ — ocala Zbyszka na krakowskim rynku, ale prastare prawo obyczaju, użyczające dziewiczej nałęczce moc łaski. I nie król, choć woła: „Już dość! — Juże mi dość!“— przechyla szale na śmiertelną stronę wielkiej wojny, ale sama szali tej pełność ją przechyla.

A tak, gdy ważne momenty psychiczne powieści, nie w postaciach tych napięcie swe i rozwiązanie czerpią, czynią tembardziej postacie owe takie wrażenie, iż choć do pełności historycznej dzieła niezbędne, znajdować się w niem przecież mogą „in effigie“.

Bo i ten Vernetowski skok króla w bitwie, gdy go tuż, tuż ogarniają płomienie Grunwaldu, choć nas uderza bezpośrednim, żywym ruchem, przecież jako wywołany zewnętrzną przypadkową przyczyną, także na zewnątrz jakby owego ogromnego bojowiska luzem stojący, jest raczej skok ten malowniczym momentem, niżeli momentem psychicznym.

Nie należy jednak mniemać, iż twórca „Krzyżaków“ zadowolił się tu jakimś martwym, jakimś konwencjonalnym szablonem. Owszem, obie postacie, i króla i królowej, są wytworną kreacją, której życie, ruch i oddziaływanie wymierzone są podług ściśle artystycznej miary, i ściśle zastosowane do punktu widzenia, z którego oglądane być mają. Bo oglądane być mają z pewnej oddali, — o tem zapominać nie należy, — a już co królowa, to zgoła w jakiejś powietrznej liljowości, która ją całą przecudnie owiewa.

Żywsza, pełniejsza ruchu, na bliższym powieściowemu wątkowi postawiona planie i traktowana energiczniej, ale także całkiem po malarsku, jest księżna Anna Danuta, która gdy się pojawia, działa przedewszystkiem na nasze wrażenia wzrokowe.

Czy dwór jej zajeżdża księżycową nocą... z brząkaniem lutni, z parskaniem koni, z śpiewaniem, a księżna staje na progu... „z śmiejącą się twarzą w czerwonym płaszczu, zielonej obcisłej szacie i pozłocistym pasie na biodrach, otoczona pannami mazowieckiemi, pacholikami, rybałtami“, czy dosiada konia przed puszczańskim dworem i na łowy jedzie, czy Zbyszka nawiedza i cieszy w kaźni, czy się naradza z księdzem Wyszońkiem, wszędzie i przedewszystkiem uderza nas jędrna a wytworna linja tej postaci, jej soczysty koloryt, niezmiernie barwne tło i bogate akcesorja. Już same te panny mazowieckie, w różowych i liljowych wianuszkach, jedne z luteńkami w ręku, inne z pękami świeżo uzbieranego w polu kwiecia, pośpiewujące, upojone pogodą nocy i blaskiem księżyca, wyglądają tak, jakby tylko co zeszły ze „Złotych schodów“ Rossettiego, po których genjalny prerafaelita, takież same postacie śpiewne i dziewicze, w przecudnej wizji zstępujące widział. (C. d. n.).

DOM POLSKI W CIESZYNIE.*)

Radzi czytujemy tu, na Śląsku, „Zorzę“, jak dowodzi fakt, że w jednej tylko wiosce naszej fabrycznej, w Ustroniu, gazetka ta liczy pół setki odbiorców. Owoż przez tę życzliwość właśnie dla „Zorzy“ chcielibyśmy, aby było w niej zawsze wszystko, co nas raduje i krzepi, co jest nam miłe i drogie. Dla tego też postanowiłem opisać wzniosłą i piękną uroczystość otwarcia strażnicy granicznej, czyli Domu polskiego w Cieszynie, stołecznem mieście naszej ziemi śląskiej, której to uroczystości sam byłem świadkiem naocznym.

. . ...Myśl wybudowania Domu polskiego na Śląsku powstała już w r. 1868. Ostatecznie w r. 1887 zawiązało się „Towarzystwo Domu Narodowego“, które się tak skrzętnie zajęło gromadzeniem potrzebnych środków, że w ciągu lat 10 zebrano już na ten cel coś przeszło 20.000 zł. Na walnem zgromadzeniu „Tow. domu narodowego“ w r. 1897 powiedziano, że już dłużej czekać nie można, ponieważ właśnie nadarzała się

*) Podając czytelnikom naszym wizerunek Domu polskiego w Cieszynie, przytaczamy, jako wyraz uczuć i zapatrywań ludu śląskiego, — opis uroczystości jego otwarcia, skreślony do ludowego pisma „Zorzy“ piórem jednego z obywateli Ustronia, fabrycznej wioski śląskiej.

sposobność nabycia domu w głównym rynku. Więc też, aczkolwiek nie posiadano dostatecznych funduszów, przystąpiono wnet do dzieła. Dom ów narożny w rynku, nabyło Towarzystwo, przerobiło i dnia 20. stycznia b. r. oddało do użytku „całemu polskiemu ludowi“.

To też uroczystość wyrosła na prawdziwe święto ludowe. Z całego kraju zeszła się ludność wiejska tak licznie, jak się ani niespodziewano. I inteligencja narodowa, której coraz więcej na Sląsku, pośpieszyła też licznie. Nadto przybyło mnóstwo gości z najdalszych stron Galicji, Królestwa i Śląska Górnego, czyli — jak go nazywają — pruskiego.

Po dwunastej rozpoczęła się uroczystość otwarcia w wielkiej sali Domu Polskiego. Najprzód chór mieszany pod kierownictwem p. Hławiczki odśpiewał Psalm: „Panie, błogosław temu domowi“ i „Boże Ojcze, twoje dzieci“; tego ostatniego hymnu wysłuchano stojąc.

Poczem zabrał głos ks. Franciszek Michejda, jako prezes „Towarzystwa domu narodowego“ i uroczyście oddał dom ów na użytek ludu polskiego i jego towarzystw. Mowca przemawiał, jak zawsze, wzniośle i porywająco, a między innemi powiedział: „I otóż stoi „Dom“ ten przed wami, kochani rodacy, nie szumny, nie paradny, ale prosty i skromny, jak lud polski pracujący tego kraju, według naszego polskiego przysłowia: „Podle stawu grobla“. Stoi i po co? Jako przytulisko, gdziebyśmy dla wytchnienia po pracy przy pogadance lub zabawie byli jak u siebie i by nasze towarzystwa narodowe nie tułały się po cudzych progach, byśmy byli na własnych śmieciach i pod własnym dachem...



Dom polski w Cieszynie.

„Ma jednak ten Dom i głębsze jeszcze, donioślejsze znaczenie. Oto stoi on, jako twierdza dla obrony praw narodowych i tej naszej ziemi polskiej i Piastowego grodu przed obcym zalewem.

„A więc oddaję Dom ten całemu ludowi polskiemu na Sląsku, bez różnicy wyznań i politycznych przekonań. Oby wszyscy, którzy tu wchodzą, odczuli i wyznali: „Tu jest dobrze być“. Oby wszyscy, którzy tu cokolwiek by czynili, mieli na oku jedno hasło, jeden cel, *pro publico bono* — to znaczy: dla dobra narodu i ojczyzny. Szczęść Boże i pokój temu Domowi!“

Potem przemówił ks. I. Świeży, były poseł, i dziękował imieniem ludu śląskiego tegoż ludu ofiarodawcom z całej Polski i podniósł, że my, Slązacy, najlepiej się odwdzięczymy rodakom, gdy zachowamy swój język i obyczaj narodowy i nie damy się Niemcom.

Niepodobna wyliczyć wszystkich przemówień, wspomnę więc już tylko o mowie p. Konopińskiego, redaktora „Nowej Reformy“ z Krakowa, który między innemi powiedział: „Jesteście na kresach, daleko od nas, ale wierzajcie, czem dalej przestrzenią, tem bliżsi naszym sercom za to, żeście się nie dali wyrugować z tej ziemi, aleście stanęli krzepko i wstrzymali wroga“.

Pieśniami chóru: „Straż nad Wisłą“ i „Boże coś Polskę“, zakończono pierwszą część uroczystości.

Po przerwie zasiadło w sali do uczty przeszło 200 osób.

Było to nie tylko pokrzepienie cielesne, ale istna biesiada duchowa. Niepodobna przytaczać wszystkich przemówień i toastów. Nadmienię więc jeno, że dr. Korbacz życzył imieniem czeskich towarzystw szkolnych szczęścia Domowi polskiemu, a dr. Haburа wzniósł kielich na cześć kobiet polskich na Śląsku.

Najbardziej jednakwzruszyła wszystkich przemowa p. Lipińskiego, robotnika-górnika z pruskiego Śląska. Słowami prostemi tak przemówił do serc, że wszystkich do łez wzruszył opisem ucisku polskiej mowy i prześladowań za przekonania ze strony Prusaków. „Z pracy nas wypędzają — mówił — za posiadanie choćby małego orzełka polskiego przy zegarku“.

Potem dziwił się, że my, na naszym Śląsku taką wolność posiadamy, a gdy rzekł: „Wracam stąd, jak do więzienia, tak do więzienia!“ to całe zebranie tak skruszył, że nikt z obecnych tego poprędku nie zapomni. Na odczytanie przeszło 30 telegramów zabrakło czasu, bo trzeba było salę przygotować do teatralnego przedstawienia. Najprzód oddeklamowano wiersz, napisany na tę uroczystość przez p. Tetmajera, a także ustęp z „Bitwy Racławickiej“ — Lenartowicza. Poczem odegrali artyści teatru krakowskiego komedję Fredry pod tytułem: „Śluby Panieńskie“, istne arcydzieło sceniczne. Na sali było co najmniej 500 osób, a mnóstwo ludzi musiało odejść dla braku miejsca i biletów.

Po przedstawieniu bawiła się młodzież ochoczo tańcami przy dźwiękach kapeli do rana.

Słowem, był to dzień, który na długo pozostanie w pamięci uczestników, dzień wygranej „bitwy kulturnej pod Cieszynem“, jak jeden z mowców trafnie się wyraził.

Siliłem się streszczać, ale przy tak wielkim materjale, wszystko się ciśnie pod pióro. Nie jedną też ważną rzecz musiałem opuścić, bo i tak będzie chyba za dużo mego pisania.

Wasz brat od młota *J. W.*

9)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Wschód zapłoną gorącą czerwienią — nad lasem błysnęła smuga złota i rozlała się szeroko po niebie, gasząc lub zapalając drobne obłoczki. A gdy z powodzi światła i barw słońce promienną wychyliło głowę, wszyscy mieszkańcy Ujazdu byli już w Hamrach, w cieniu opiekuńczych lasów.

Fala ludzka tu się rozbiła, lecz nie ucichła, zwłaszcza, gdy i z Drażenowa nadbiegła gromada zbrojnych górali. Cały las ożył, przemówił. Ci, co się byli potracili podczas ucieczki, odnajdywali się teraz wzajemnie — rodziny wybierały miejsca odpowiednie na koczowiska — dzieci płakały, statek ryczał, przywiązany do drzew lub szukał paszy leśnej. Opodal, na krawędzi boru stały wozy rzędami, przy nich starcy, chorzy, dzieci. I tu i wewnątrz lasu panował jeszcze chłodny mrok, podczas gdy wzgórza i szczyty w jasności tonęły. Wtem na zboczach Hradku, w radośnem onem świetle, zabłysła broń...

To ciupagi i strzelby Przybkowego oddziału migotały w słońcu wschodzącem...

Uzbrojeni gazdowie i parobcy pozostawali do ostatniej chwili, jako wierna straż, nad opustoszałą, jakby wymarłą wioską. Ale teraz i oni zstępują spiesznie ubocżą, ku Hamrom zmierzając... Snadź wojsko nadciąga...

Jakoż rzeczywiście, kędyś wysoko nad Ujazdem warknęły bębny, zagrała trąbka bojowa Głosy te leciały świetlistem powietrzem, wyraźne i donośne, aż uderzyły w ścianę boru. Wojska jednak nie było widać... Nagle na kamienistej, od Hawłowic wiodącej drodze zagrzmiały podkowy, błysnął oręż... Jazda — cesarska jazda — kirysjerzy...

Pomykali szybko, ale widząc, że górale przerżnęli w porę gościniec i zbliżają się do lasu — przystanęli.

Nie cofali się jednak, lecz poczęli się dzielić, wysyłając czaty na wzgórza nad Ujazdem dla obserwowania wioski i taboru, o ile ten ostatni można było dostrzedz śród drzew.

Pozostała reszta wojska roztasowała się we wsi, którą widać było częściowo z Hamr. — To ci dopiero będą tam gazdowali! Dość jeszcze najdą wszelakiego dobra, a czego nie będą mogli zużytkować, to zniszczą! — Tak myśleli ukryci w lasach włościanie, spoglądając z trwogą, czy nie walą kłęby dymu, czy nie buchają czerwone płomienie ponad ich strzechami. Ale niebo, jasno modre, bezchmurne i nad Ujazdem nie śmiło się dymami pożaru.

Kilka drewnianych opuszczonych, niezamieszkałych budynków na niewielkiem wzgórzu, nad

potokiem, u ściany lasu, tworzyły tak zwane Hamry. Pyszny roztacza się stąd widok na Czerchów i na inne olbrzymy Czeskiego lasu i Szumawy, jak niemniej na cały kraj górzysty, obficie lasami porosły.

Zbrojni Chodowie z Ujazdu i Drażenowa, którzy to miejsce zajęli, bacznie przyglądali się teraz poruszeniom kirysjerów na wzgórzach i gościńcu. Nie czuli najmniejszego lęku. Owszem, krew wrzała im w żyłach gniewem na Lammingera.

Chce zniszczyć ich na majątku, chce wojskiem przestraszyć, aby stali się jego niewolnikami, aby się przed nim upokorzyli. Ho, panie Lomikarze, tego Chodowie nie uczynią nigdy, choćbyś kazał na nich uderzyć całemu wojsku, choćbyś kazał do nich strzelać... Ale i ty sam odpowiesz ciężko za przelaną krew... W Wiedniu nie wiedzą, zaiste, co się tu dzieje. Bo i skrony czegożby cesarz nasyłał na nich kirysjerów? Cóż uczynili złego? Że się nie chcieli dać okraść temu nieszczęsnemu Koszowi?... To jeszcze nie zbrodnia. O gdyby w Wiedniu wiedziano, jak się Lomikar z nimi obchodzi, jak krwawej pańszczyzny, jakich opłat od nich wymaga, wbrew sprawiedliwości, wbrew pergaminom, a teraz przy pomocy wojska chce zmusić do posłuszeństwa. Nie, nie — złamać się nie dadzą, nie ustąpią ani przed kulami!

Tak czuli, w tym sensie rozmawiali ze sobą wszyscy Chodowie w Hamrach, skupieni na jednem jakiemś podwórzu, wokoło studni z żórawiem pod gruszą, u której powiewała chorągiew chodzka, w ziemię wbita. Wszyscy byli rozjątrzeni na Lammingera i gotowi do walki, lecz Maciej przodował im w tych uczuciach. Nie mówił wiele, głową jeno kiwał, ale gdy przyszło do narady, co i jak poczynać, wtedy on zabrał głos. A wnioski jego zostały przyjęte zgodnie i natychmiast wykonane. We wszystkich kierunkach od Hamr rozstawiono czaty z dwóch, trzech junaków złożone, dla obserwowania wojska. Pchnięto też posłańców do innych wiosek, aby wszyscy mężczyźni spieszyli, uzbrojeni, jak który może, na pomoc.

Jakoż nim jeszcze słonko na dobre się rozpaliło, nadbiegło dwudziestu górali, starszych i młodszych, ze Straży za lasem, — przed południem nadciągnęły posiłki z Tłumaczowa i Miodakowa, mając drogę wolną do taboru przez lasy. Wnet popołudniu przybyły, kołując, też leśnemi drożynami, gromadki z Postrzekowa, Kleńcza, Chodowa.

Maciej Przybek odetchnął.

Jedną — jedyną miał tylko obawę, a to, aby wojsko nie uderzyło na nich odrazu. Z rana, wobec szczupłych sił, nie byłby w stanie natarcia odeprzeć. Ale teraz, gdy oddział wciąż rósł, gdy popołudniu miał już dwiestu zbrojnych górali pod swemi rozkazami, chmura zniknęła z jego czoła. Nad wieczorem już było ich trzy setki, zaś przed zachodem słońca zjawili się gazdowie i chłopcy z Kiczowa, a w ślad za nimi przycwałowało kilku jeźdźców, w strzelby i inną broń zaopatrzonych. Najdzielniej wśród nich wyglądał młody Szerłowski. Narzeczony Maryny Przybkównej, zeskoczywszy z konia, oświadczył starszym, że reszta zuchów z Poczynowiec i Lhoty nadciągnie tu dziś jeszcze. Wcześniej pospieszyć nie mogli, bo zbyt późno się dowiedzieli o tem, co zaszło.

Zaledwie skończył mówić, gdy ozwał się głos trąbki i młody Chod nadbiegł z placówki, z oznajmieniem, że oficer życzy sobie rozmówić się ze starszymi.

— A ten-że czego chce od nas! — oburzył się Maciej. — Kazował nam może będzie, abychmy szli doma i prosili o przebaczenie?...

— A potem zaś na pańskie — do roboty!— dorzucił ironicznie stary Brejcha z Postrzekowa.

— Ja-bych ta nie dał ani pary puścić z gęby panu oficerowi — mruknął niechętnie Przybek.

Inni jednak nie chcieli tak ostro i wzgardliwie poczynać. Uradzono więc, że oficera do siebie nie puszczą, ale sami pójdą ku niemu.

Jakoż starszyzna, dobrze uzbrojona, mając w orszaku koło dwudziestu dzielnych chłopców, udała się do placówki chodzkiej, kędy oczekiwał na nią oficer z trębaczem.

Przedstawiciel wojska cesarskiego zaczął od wezwania imieniem starosty Hory, aby Chodowie wydali burgrabiego, a potem wrócili spokojnie do swoich wiosek i prawowitej zwierzchności byli posłuszni...

Gwałtowne wołania Chodów nie pozwoliły mu nawet dokończyć. Z trudnością wielką uzyskawszy ponownie głos, jął tłumaczyć, że z wojskiem rady dać sobie nie będą mogli w żadnym razie, nadaremnie więc krew się poleje, nadaremnie całe ich mienie pójdzie z dymem...

— Takich rzeczy nie powiadajcie nam, panie ochficerze! — zawołał Przybek z zapłonioną twarzą. — Dyć wiemy dobrze, kto was haw przysłał. Władzę nad nami dzierży król, a nie jakowyś Lomikar. Temu też nie boimy się, choćbyście nawet chcieli nas ubić, aby dospomódz temu łupiskurze. Uważcie ino, jako wam powiem, że i my przecie zdolemy się bronić i bronić się będziemy.

Burzliwe okrzyki i gwar zbrojnego zastępu powiedziały oficerowi, że wszyscy tak samo myślą i czują. Nie pozostało mu więc nic innego, jak odejść z kwitkiem...

Mrok wieczorny owijał ziemię, zgęszczając się coraz bardziej. Na ciemno szafirowem niebie błysnęły gwiazdy. W ciszy nocy letniej każdy dźwięk rozlegał się wyraźnie i głośno, słychać więc było i tętent koni żołnierskich na kamienistej drodze i głuchy ryk wołów w lesie. Chwilami przylatywały dalekie głosy, wołania straży wojskowych i chodzkich.

W samym taborze góralskim więcej było życia.

U krawędzi lasu Zielenowskiego, na mchach miękich i wrzosach spoczywali dorodni Chodowie

w białych cuhach, mając obok siebie ciupagi i strzelby o drzewa wsparte. Mężowie ci tworzyli drugą linję straży, której obowiązkiem było czuwać nad lasem i chroniącymi się tam mieszkańcami Ujazdu. A chociaż nie zachodziła najmniejsza obawa niespodzianej napaści, żaden z nich nie zmrużył oka przez caluteńką noc. Jedni wodzili milczącem spojrzeniem po wierchach, piętrzących się dookoła wioski, — inni skracali sobie czas tłumioną pogwarą.

(C. d. n.).

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Po przybyciu, zawiadowca notował skrupulatnie czas użyty na przejazd i dawał o tem wiedzieć do Czyty. Parę tygodni prób starczyło, ażeby przyzwyczaić konie do światła pochodni, do krzyków ludności, wołającej „ura“, a nadto by je przyuczyć do trzymania się ściśle kierunku drogi zjazdowej. Trzeba widzieć własnem okiem, ażeby módz podziwiać odpowiednio rozum konia ohłoblowego, bo on w pędzie największym umie zwrócić prawie pod kątem prostym z ulicy na pomost i pod takimże samym kątem zdoła sanie skierować na rzekę, utrzymując je przytem ohłoblami tak, by módz ochronić przed niebezpieczeństwem zatoczenia się na bok w kierunku odśrodkowym pędu! Powiadam, że trzeba to widzieć oczami własnemi, ażeby oddać sprawiedliwość należną zmyślności koni zabajkalskich. Ten epizod z życia ówczesnego Syberji wschodniej, wrył się głęboko w moją pamięć. Ileż bo to nadziei zwodniczych wywołał oczekiwany przejazd W. Księcia przez Syberję! Nawet nasi rodacy nie byli od złudnych marzeń wolni. Oczekiwano tedy przybycia w. k. Aleksieja, jak oczekują żydzi Messjasza. Tymczasem nadeszła smutna wiadomość, że zimą podróż odbywać się nie może, lecz że latem przejeżdżać będzie przez Syberję W. książe. Przygotowania poszły na marne, tysiące choinek, niewidziane okiem oczekiwanego dobroczyńcy, popłynęły smutnie Amurem do morza, stajały bramy tryumfalne, a z niemi i nadzieje ludzkie rozwiały się do szczętu, pozostawiając po sobie tylko wspomnienie.



Rzeka Angara, wypływająca z jeziora Bajkalskiego.

Nie na całej przestrzeni swego biegu Angara pokrywa się lodem, powierzchnia rzeki na kilkunastu pierwszych kilometrach, licząc od wypływu Bajkału, nie zamarza nigdy, a tylko u brzegu na płytszych miejscach wytwarzają się tak zwane „zabieregi“, po których zimą jedzie się saniami do Listwiennicznej. Natomiast na całej przestrzeni o głębszej wodzie, nawet w czasie panowania mrozów najtęższych, przypadających zwykle około Bożego Narodzenia i trwających aż do święta Trzech królów (Rażdiestwiennyje i Kreszczeńskije morozy) — powierzchnia wody jest zupełnie wolna od lodów. Tutaj znajdują przytułek na zimę, liczne stosunkowo stada ptaków wodnych, które gwarem wesołym napełniają powietrze, tak, że często poddaje się człowiek złudzeniu, jadąc tą drogą na Bajkał, że wkracza do jakiejś szczęśliwej okolicy, gdzie panuje wieczna wiosna, a że uczucie, wywoływane nadchodzącą wiosną, napełnia serce każdej istoty żyjącej radością, więc zbliżanie się do Bajkału po dolinie Angary robi zawsze przyjemne wrażenie.

Wsłuchując się pilniej w krzyki radośne ptaków, które w dnie ciche i pogodne rozbrzmiewają daleko po dolinie, rozróżniamy głos dziwaczny kaczki lodówki (Harelda glacialis) wołającej, jakby kto powtarzał spiesznie wyrazy: „ach, ach, ach; ałłach, ałłach, ałłach“, zmieszany ze

świstem Gągola (Clangula glaucion), z chrapowatymi tony, wabiących się Szlacharów (Mergus merganser i serrator) i Szlacharków (Mergus albellus). Te wymienione dopiero co gatunki, wraz z Czernicą czubatą (Fuligula cristata) i innymi, rzadszymi gośćmi zimowymi tutaj, jak np. kaczka uhla i kaczka czarna (oedemia fusca i nigra) dostarczają świeżej zawsze zwierzyny na stół smakoszów irkuckich, którzy znajdują, że smak tych ptaków, gdzieindziej małocenionych, nabiera tutaj „homarowy“ charakter, wskutek pożywienia sutego, składającego się przeważnie ze skorupiaków kiełzowatych Angary i Bajkału.

Myśliwi miejscowi i amatorowie polowania, przybywający w dnie świąteczne z Irkucka, urządzali zasadzki na lodzie jeziora, gdzie z poza brył lodowych strzelali do ptaków, gdy te wypływały na cichą przestrzeń wód, w miejscu nie mającem jeszcze prądu rzecznego. Ptaki strzelane już na rzece, giną zwykle dla myśliwych, gdyż szybkość biegu wody nie pozwala ich dostać stamtąd.

Chyżość prądu rzeki, która wspólnie ze stałą temperaturą wód Bajkału jest powodem niezamarzania powierzchni Angary u jej początków, starano się w różnych czasach określić, badania w tym kierunku prowadzone miały wykazać, że szybkość biegu wody na przestrzeni (licząc od Listwiennicznej do Irkucka), wynoszącej 64 klm., równa się przecięciowo 10 klm. na godzinę, przyczem pochyłość łożyska rzeki wynosi tutaj 0.38 M. na jeden kl. Płynąc w łódce lekkiej z wodą i używając wioseł tylko w miejscach rozlewnych, o płaskich wybrzeżach i szerokiem korycie rzeki, odbywaliśmy całą drogę, od Bajkału do Irkucka w przeciągu 6 i pół godzin. Podróż łódką po Angarze należała dawniej do rzędu wycieczek najprzyjemniejszych, rozpoczynano ją zwykle od miejsca, nazwanego wrotami Angary; tę okolicę, widzianą z oddali przedstawia rysunek powyżej umieszczony. Rzeka wypływa tutaj z łona jeziora w pełni swej krasy i potęgi, jak Bogini grecka z głowy Gromowładcy.

Z pism i książek.

Przegląd Filozoficzny. Rok IV, zeszyt 1. Warszawa, 1901; str. 125.

Na czele pierwszego zeszytu czwartego rocznika „Przeglądu filozoficznego“, znajdujemy specjalną rozprawę Władysława Gosiewskiego p. t. *Zarys teorji matematycznej monadologji.*

W rubryce, zatytułowanej „Przegląd krytyczny“, dr. Zygmunt Balicki omawia obszernie pracę E. Abramowskiego pt. *Pierwiastki indywidualne w socjologji*, będącej próbą zastosowania fenomenalizmu subjektywnego do zjawisk z zakresu czystej socjologji. Dr. Z. Balicki skazuje pracę tę „z góry na niepowodzenie“ i zbija poszczególne punkta wytyczne, wykazując w niej daleko mniej ścisłości i oględności, niż w innej pracy E. Abramowskiego, a którą również omawia, mianowicie: *Les bases psychologiques de la sociologie* (Paris, 1897). Rozebrane dopiero co poglądy — pisze dr. Balicki — nie stanowią samodzielnej, oryginalnej teorji, posiadającej własny punkt widzenia, ale raczej próbę odnowienia materjalizmu socjologicznego przez mechaniczne połączenie go z filozoficzną teorją materjalizmu. Ta jednak jaknajmniej nadawała się do tego, ze względu na niczym nie dającą się zatrzeć sprzeczność jej z teorją materjalizmu. Stąd zlepek formalny dwóch wykluczających się nawzajem punktów widzenia“. „Wrodzona jędrność i oryginalność myśli p. Abramowskiego została zakażoną wpływem prądów umysłowych, nie mających nic z naukowością wspólnego“.

Wśród „autoreferatów“ znajdujemy prof. Henryka Struvego. *Historję filozofji w Polsce, na tle ogólnego rozwoju życia umysłowego* (zeszyt pierwszy: „Wiadomości przygotowawcze“, Warszawa, 1900), dra Jerzego Żuławskiego *Das problem der Kausalität bei Spinoza* (Bern, 1899), prof. M. Straszewskiego *Ideen zur Philosophie der Geschichte der Philosophie* (Wien u. Leipzig, 1900), tegoż *O filozofji i filozoficznych naukach*, (Kraków, 1900) i dra I. Halperna *Der Entwicklungsgang der Schleiermacher'schen Dialektik* (Arch. f. Gesch. d. Philos. XIV).

Kończy zeszyt rubryka „Sprawozdań“, na którą złożyły się: *Kongres filozoficzny międzynarodowy*, artykuł bardzo obszerny pióra Wł. M. Kozłowskiego, który brał czynny udział w obradach kongresu, a w sekcji III. *Logiki i historji wiedzy* komunikował *O połączeniu chemicznem ze stanowiska teorji poznania*, (komunikat ten drukowany był w czwartym zeszycie rocznika trzeciego „Przeglądu filozoficznego“). Oprócz p. Kozłowskiego z Polaków w obradach wymienionego kongresu filozoficznego, który odbył się w Paryżu w sierpniu 1900 roku — brał udział jeszcze i p. S. Dieckstein.

Następnie Kazimierz Krauz zdaje sprawozdanie *z IV. kongresu socjologicznego*, a W. M. Kozłowski *z Czwartego kongresu psychologicznego międzynarodowego* (w Paryżu w r. 1900). W tym ostatnim brały udział i dwie Polki: panna Stefanowska mówiła o *Warunkach, w których powstają paciorkowate zgrubienia na dendrytach mózgowych* i o *Dodatkach gruszkowatych komórek nerwowych*, a panna I. Jotejkówna mówiła o *Rozkładzie znużenia w organach obwodowych i centralnych* i o *znużeniu, jako środku ochronnym organizmów.*

Zwykłego przeglądu czasopism filozoficznych zeszyt ten nie przynosi. *H. U.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.